



DEAN
KOONTZ

W mroku nocy

Najpierw

Nazywam się Christopher Snow. Przedstawiona tu relacja to część mojego prywatnego dziennika. Skoro ją czytacie, to prawdopodobnie już nie żyję. Jeśli jednak nadal chodzę po ziemi, to z powodu tego właśnie opisu jestem — albo wkrótce będę — jednym z najśłynniejszych ludzi na naszej planecie. Jeśli nikt i nigdy nie przeczyta tych słów, to stanie się tak dlatego, że świat w znanej nam postaci przestanie istnieć, a cywilizacja ludzka zginie w otchłani zapomnienia. Nie jestem bardziej próżny niż większość ludzi i nad ogólne uznanie i sławę przedkładam spokój anonimowości. Niemniej jednak, jeśli będę musiał dokonać wyboru pomiędzy Armagedonem i sławą, zdecyduję się na to drugie.

1

W innych miejscach na ziemi ciemność po prostu zapada, lecz w Moonlight Bay podkrada się do nas bezszelestnie niczym wielka szafirowa fala liżąca piasek plaży. O świcie noc cofa się przez Pacyfik ku odległej Azji, czyni to jednak powoli i niechętnie, pozostawiając plamy głębokiej czerni w alejkach parkowych, pod samochodami, wokół studzienek kanalizacyjnych i pod baldachimami z liści starych dębów.

Tybetańczycy wierzą, że pewne tajemnicze sanktuarium ukryte w Himalajach jest domem i kolebką wszystkich wiatrów, miejscem, gdzie rodzi się najłżejsza bryza i najstraszniejsze tornado. Jeśli noc także ma swój dom, to bez wątpienia jest nim nasze miasto.

Jedenastego kwietnia, kiedy podczas swej wędrówki na zachód noc przechodziła przez Moonlight Bay, zabrała ze sobą pięcioletniego chłopca — Jimmy'ego Winga.

Około północy jeździłem na rowerze, przemierzając zadbane uliczki dzielnicy mieszkaniowej położonej na niewysokich wzgórzach w pobliżu Ashdon College, gdzie niegdyś wykładali moi nieżyjący już rodzice. Przedtem byłem jeszcze na plaży, ale drobne leniwe fale nie nadawały się zupełnie do surfowania, toteż nie próbowałem nawet wkładać kombinezonu i wyciągać

deski. Orson, wielki labrador o kruczoczarnej sierści, truchtał obok mnie.

Tej nocy nie wyszliśmy z domu na poszukiwanie przygód, chcieliśmy po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza i trochę się poruszać. Często prześladuje nas obu nieokreślony niepokój, który zmusza do wyjścia na zewnątrz i wędrowania ciemnymi ulicami miasta.

Zresztą tylko głupiec albo szaleniec z własnej woli szukałby przygód w malowniczym Moonlight Bay, które jest jedną z najspokojniejszych i jednocześnie jedną z najbardziej niebezpiecznych społeczności na naszej planecie. Wystarczy, że postoiście przez chwilę w jednym miejscu, a przygoda waszego życia znajdzie was sama.

Lilly Wing mieszka przy ulicy porośniętej wielkimi sosnami, wydzielającymi intensywny zapach. W ciemnościach, których nie rozprasza tutaj ani jedna latarnia, pnie i pokrzywione gałęzie drzew były czarne jak smoła. Jedyne w kilku miejscach blask księżyca przebijał się z trudem między rozłożystymi gałęziami i srebrzył chropowatą korę.

Zauważyłem ją dopiero wtedy, gdy między drzewami pojawił się żółty blask. Snop światła rzucany przez niewielką latarkę przesuwał się niczym wahadło po chodniku i wycinał z mroku chwiejne cienie drzew. Wołała syna po imieniu, starała się robić to jak najgłośniej, ale strach i rozpacz odbierały jej głos, wprawiały go w drżenie, zamieniając „Jimmy” w sześćciosylabowe słowo.

Ponieważ o tej porze nie jeździły żadne pojazdy, jechałem środkiem ulicy, a Orson biegł równoległe do mojego roweru; byliśmy władcami drogi. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku.

Kiedy Lilly wyszła spomiędzy drzew, zawołałem do niej:

— Co się stało, Borsuczku?

Nazywałem ją tym czułym przewiskiem od dwunastu lat, od czasu, kiedy oboje byliśmy szesnastolatkami. W owym

czasie Lilly nosiła nazwisko Travis, kochaliśmy się i wierzyliśmy, że resztę życia spędzimy razem. Na długiej liście naszych wspólnych upodobań i pasji miejsce szczególne zajmowała książka Kennetha Grahame'a *O czym szumią wierzby*, której bohater, mądry i odważny Borsuk, był nieugiętym obrońcą wszystkich dobrych zwierząt z Dzikiego Lasu. „W tej krainie każdy z moich przyjaciół może chodzić tam, gdzie zechce — obiecał Borsuk Kretowi — a jeśli ktoś mu przeszkodzi, będzie miał ze mną do czynienia!”. Podobnie wszyscy ci, którzy dręczyli mnie z powodu mej nietypowej ułomności, nazywali mnie „wampirem” ze względu na to, że od urodzenia nie tolerowałem światła, ci nastoletni psychopaci, którzy chcieli torturować mnie pięściami i blaskiem latarek, ci, którzy drwili i wyśmiewali się ze mnie za moimi plecami, jakbym sam wybrał sobie życie z *xeroderma pigmentosum* — wszyscy oni musieli najpierw stawić czoło Lilly, która reagowała na każdy przejaw dyskryminacji słusznym gniewem. Jako mały chłopiec z konieczności nauczyłem się walczyć i nim poznałem Lilly, potrafiłem już sam dochodzić swoich praw; niemniej jednak Lilly mocno nalegała, by mogła stanąć u mojego boku i bronić mnie tak dzielnie, jak szlachetny Borsuk zawsze bronił swego przyjaciela Kreta.

Choć jest dość drobna, kryje się w niej wielka siła. Ma tylko pięć stóp i cztery cale wzrostu, zawsze jednak wydaje się, że góruje nad przeciwnikiem. Potrafi być przerażająca, gwałtowna i niepohamowana, ale jest też człowiekiem wielkiej dobroci i bardzo atrakcyjną kobietą.

Tej nocy jednak uleciał gdzieś jej naturalny wdzięk, a przerażenie wykrzywiło twarz w nienaturalnym grymasie. Kiedy zawołałem, odwróciła się gwałtownie w moją stronę. W szerokich dżinsach i rozpiętej koszuli wyglądała jak strach na wróble, ożywiony jakimś cudownym sposobem, zdumiony i przerażony tą przemianą, zmagający się z krepującym go

drewnianym krzyżem.

Skierowała światło latarki na moją twarz, jednak rozpoznawszy mnie, natychmiast przesunęła je na ziemię.

— Co się stało? — spytałem ponownie i zsiadłem z roweru.

— Jimmy zniknął.

— Uciekł?

— Nie. — Odwróciła się ode mnie i ruszyła w stronę domu. — Tędy, chodź, sam zobacz.

Posiadłość Lilly otoczona jest białym drewnianym płotem, wykonanym przez nią własnoręcznie. Bramkę tworzą dwa krzewy, wyhodowane i przycięte w ten sposób, by układały się w żywy, szeroki baldachim. Do skromnego domku prowadzi chodnik ułożony z kolorowych kamieni, tworzących skomplikowany wzór. Lilly sama zaprojektowała i ułożyła tę ścieżkę, nauczywszy się tego z kilku książek.

Drzwi frontowe stały otworem. Za nimi dostrzegłem rzęsiście oświetlone pokoje.

Zamiast zaprosić mnie i Orsona do wnętrza, Lilly zeszła z chodnika i szybko przecięliśmy trawnik. Kiedy prowadziłem rower po krótko przyciętej trawie, terkot łożysk był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki zakłócał ciszę nocy. Przeszliśmy na północną stronę domu.

Łóżko w sypialni było rozłożone. Wewnątrz świeciła się tylko jedna lampka, rzucając na ściany bursztynowy blask i miodowe cienie przesączone przez składany żółty abażur. Po lewej stronie łóżka ciągnęły się półki na książki, na których ustawiono szereg figurek z *Gwiezdnych wojen*. Zimny przeciąg poruszał białą zasłoną, trzepotała niepewnie niczym duch, który jeszcze nie chce opuścić tego świata.

— Myślałam, że okno jest zamknięte na zatrzask, ale widocznie nie było — powiedziała Lilly, a teraz w jej głosie pobrzmiwały nutki wściekłości. — Ktoś je otworzył, jakiś sukinsyn, i zabrał Jimmy'ego.

— Może nie jest tak źle.

— Jakiś chory dupek — upierała się Lilly.

Światło latarki zdrząło, a Lilly skierowała je na grządkę z kwiatami, starając się opanować drżenie dłoni.

— Nie mam pieniędzy — powiedziała cicho.

— Pieniądzy?

— Żeby zapłacić okup. Nie jestem bogata. Nikt nie porwałby Jimmy'ego dla okupu. To coś gorszego.

Klomb przesłonięty pierzastymi płatkami białych kwiatów, które w sztucznym blasku latarki lśniły jak lód, został podeptany przez nieznanego napastnika. Ślady stóp odcisnęły się w zgniecionych liściach i wilgotnej, miękkiej ziemi. Nie były to ślady dziecka, lecz dorosłego człowieka w sportowych butach. Sądząc po rozmiarach i głębokości wgniecenia, musiał to być ktoś duży i ciężki, najprawdopodobniej mężczyzna.

Dopiero teraz zauważyłem, że Lilly jest bosa.

— Nie mogłam zasnąć, oglądałam telewizję, jakiś głupi film — wyszeptała tonem samooskarżenia, jakby wierzyła, że mogła przewidzieć tę sytuację i ocalić Jimmy'ego.

Orson wepchnął się pomiędzy nas, by powąchać zdeptany klomb.

— Niczego nie słyszałam — mówiła dalej Lilly. — Jimmy nawet nie krzyknął, ale miałam takie dziwne przeczucie...

Jej szlachetna uroda, piękno czyste i głębokie jak odbicie wieczności, zostało teraz zniszczone przez strach, porysowane ostrymi liniami gniewu, pod którym kryła się rozpacz. Gdyby nie przekorna nadzieja, zapewne całkiem by się załamała. Choć widziałem ją tylko w rozproszonym blasku bijącym od latarki, nie mogłem znieść widoku bólu malującego się na jej twarzy.

— Wszystko będzie w porządku — oświadczyłem, wstydząc się swego kłamstwa.

— Zadzwoiłam na policję — powiedziała. — Powinni tu

być lada moment. Gdzie oni są, do diabła?

Osobiste doświadczenia nauczyły mnie już, że nie można ufać policjantom z Moonlight Bay. Są skorumpowani. I nie chodzi tutaj tylko o zepsucie moralne, przyjmowanie łapówek i żądę władzy; to zjawisko ma głębsze i przerażające korzenie.

Ciszy nocy nie rozdzierało wycie policyjnych syren, ale ja wcale nie spodziewałem się ich usłyszeć. W naszym dziwnym mieście policja działa z daleko posuniętą dyskrecją, nie używa nawet cichego sygnału świateł alarmowych, ponieważ często przyjeżdża nie po to, by odszukać sprawcę i doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości, lecz by zatrzeć ślady zbrodni i uciszyć jej ofiarę.

— On ma tylko pięć lat, pięć lat — powtarzała Lilly płaczliwie. — Chris, a jeśli porwał go ten facet, o którym mówili w wiadomościach?

— Jaki facet?

— Seryjny zabójca. Ten, który... pali dzieci.

— Przecież on tutaj nie działa.

— W całym kraju. Co kilka miesięcy. Pali żywcem grupki małych dzieci. Dlaczego to nie miałyby być właśnie on?

— Bo nie jest — uciąłem krótko. — To ktoś inny.

Odwróciła się od okna i zaczęła przeszukiwać podwórze, jakby miała nadzieję, że odnajdzie swego rozczochanego i zaspanego synka pomiędzy suchymi liśćmi i kawałkami kory, które zaścielały ziemię pod rzędem drzew eukaliptusowych.

Orson pochwycił jakiś podejrzany zapach, warknął cicho i odsunął się od klombu z kwiatami. Spojrzał na parapet okienny, wciągnął powietrze, znów przyłożył nos do ziemi i po chwili wahania skierował się na tyły budynku.

— Znalazł coś — powiedziałem.

Lilly odwróciła się do mnie.

— Co?

— Jakiś ślad.

Orson poruszał się coraz pewniej i po chwili zaczął truchtać.

— Borsuczku — poprosiłem — nie mów im, że Orson i ja byliśmy tutaj.

Strach ścisnął jej gardło tak mocno, że nie mogła wydobyć z siebie nic oprócz szeptu.

— Nie mówić komu?

— Policji.

— Dlaczego?

— Wrócę tu. Wytłumaczę ci. Przysięgam, że znajdę Jimmy'ego. Przysięgam.

Mogłem dotrzymać dwóch pierwszych obietnic. Trzecia była jednak jedynie wyrazem moich pobożnych życzeń i wypowiedziałem ją tylko po to, by dać Lilly odrobinę nadziei.

W rzeczywistości w tej samej chwili, kiedy pchałem rower przez trawnik i goniłem mojego niezwykłego psa, byłem przekonany, że Jimmy Wing przepadł na zawsze. Przypuszczałem, że uda mi się co najwyżej odnaleźć zwłoki chłopca, a przy odrobinie szczęścia i człowieka, który go zamordował.

2

Kiedy wybiegłem z za rogu domu Lilly, nie dostrzegłem Orsona. Był tak czarny, że nawet blask księżyca w pełni nie mógł go ukazać.

Z prawej strony doszło mnie ciche szczerknięcie, potem jeszcze jedno, pobiegłem więc w tamtym kierunku.

Po drugiej stronie podwórza znajdował się wolno stojący garaż, do którego można było wjechać tylko od strony ulicy. Kamienny chodnik, ułożony wzdłuż ściany garażu, prowadził do drewnianej furtki. Orson stał właśnie przy niej i próbował otworzyć łapą zatrzask.

Muszę przyznać, że mój pies jest znacznie sprytniejszy od zwykłych czworonogów. Czasami podejrzewam, że jest też znacznie sprytniejszy ode mnie.

Gdyby nie to, że mam dłonie i chwytny palce, bez wątpienia to ja jadałbym z miski na podłodze, natomiast Orson zająłby najwygodniejszy fotel w mieszkaniu i przełączałby kanały w telewizorze.

Wykorzystując jedyny atut, świadczący o mojej wyższości, teatralnym gestem odsunąłem zatrzask i otworzyłem skrzypiącą furtkę.

Wzdłuż tej strony alejki ciągnęły się płoty, garaże i szopy

na narzędzia. Po drugiej stronie popękany i nierówny asfalt ustępował miejsca wąskiemu, żwirowemu poboczcu, które z kolei ograniczone było rzędem potężnych drzew eukaliptusowych. Wysokie krzewy i chwasty zakrywały strome zbocze wąwozu ciągnącego się wzdłuż drogi.

Dom Lilly leży na skraju miasta, którego granice wyznacza w tym miejscu właśnie ów wąwóz. Po jego drugiej stronie nie ma już żadnych zabudowań. Dzika trawa i skarłale dęby porastające zbocza jaru dają schronienie jastrzębiom, kojotom, królikom, wiewiórkom, myszom polnym i węzom.

Zdając się jedynie na swój wspaniały nos, Orson przeszukiwał systematycznie krzewy i trawę wzdłuż drogi. Biegał w tę i we w tę, pomrukując i skamłając coś do siebie.

Stałem w pobliżu, między drzewami, i wpatrywałem się w ciemność, której nie mógł rozproszyć nawet blask księżyca. Nie dostrzegłem światła latarki. Jeśli Jimmy zniknął w mroku, jego porywacz musiał być obdarzony niezwykłymi zdolnościami.

Z cichym szczeknięciem Orson przerwał nagle poszukiwania przy krawędzi wąwozu i powrócił na środek ulicy. Kręcił się w kółko, jakby ścigał własny ogon, jednak trzymał głowę wysoko i zapamiętałe węszył.

Dla Orsona powietrze jest gęste od różnych woni. Nos każdego psa jest tysiące razy czulszy od ludzkiego nosa.

Jedynym zapachem, jaki ja wychwytywałem, był aromat wydzielany przez drzewa eukaliptusowe. Prowadzony zupełnie inną i znacznie bardziej podejrzaną wonią, niczym opilek żelaza przyciągany przez potężny magnes, Orson pognał alejką na północ.

Może Jimmy Wing jeszcze żył.

Chętnie wierzę w cuda. Dlaczego nie miałbym uwierzyć i w ten?

Wsiadłem na rower i pojechałem śladem psa. Orson bez

wahania wybierał kierunek i nie żałował sił, musiałem więc mocno naciskać pedały, by dotrzymać mu tempa.

Mijaliśmy kolejne przecznice, sunąc wzdłuż ulicy oświetlanej jedynie od czasu do czasu przez lampy zamocowane na tyłach prywatnych rezydencji. Z przyzwyczajenia omijałem te kręgi bladego światła, trzymając się ciemniejszej strony alei, choć przejazd przez każdy z nich zająłby zaledwie ułamek sekundy i nie stanowiłby żadnego zagrożenia dla mojego zdrowia.

Xeroderma pigmentosum — XP dla tych, którzy nie chcą połamać sobie języka — to dziedziczna choroba genetyczna, która daje mi miejsce w ekskluzywnym klubie zaledwie tysiąca Amerykanów. Jeden z nas na 250 000 pozostałych obywateli. XP czyni mnie bardzo podatnym na raka skóry i oczu, wywołanego każdym rodzajem promieniowania ultrafioletowego. Blaskiem słońca. Światłem żarówek i neonów. Poświatą rzucaną przez błyszczący ekran telewizora.

Gdybym ośmielił się spędzić choćby pół godziny w pełnym letnim słońcu, doznałbym paskudnych poparzeń, choć taki pojedynczy wybryk jeszcze by mnie nie zabił. Najbardziej przerażający jest jednak fakt, że nawet krótki kontakt z promieniowaniem ultrafioletowym skraca moje życie, ponieważ w organizmie następuje kumulacja defektów. Drobne, niedostrzegalne uszkodzenia gromadzą się przez lata i nakładają na siebie, by wreszcie objawić się w postaci widocznych zmian chorobowych. Sześćset minut kontaktu ze światłem, rozłożonych na cały rok, będzie miało ostatecznie taki sam skutek jak dziesięć godzin spędzonych na plaży podczas gorącego lipca. Blask rzucany przez lampę nie jest tak szkodliwy jak światło słoneczne, ale nie jest też całkiem bezpieczny.

Nic nie jest.

Wy, ludzie o prawidłowo funkcjonujących genach, możecie rutynowo likwidować szkody wyrządzone codziennie waszej

skórce i oczom, szkody, których nie jesteście nawet świadomi. Wasze ciała, w odróżnieniu od mojego, nieustannie produkują enzymy, które usuwają uszkodzone fragmenty łańcuchów nukleotydowych w komórkach i wymieniają je na nowe.

Muszę egzystować w ciemności, podczas gdy wy pędzicie życie pod błękitnym niebem, a mimo to nie czuję do was nienawiści. Nie mam żalu o to, że możecie cieszyć się wolnością, której nie potraficie nawet docenić — choć bardzo wam jej zazdroszczę.

Nie darzę was nienawiścią, bo w końcu też jesteście tylko ludźmi i dlatego macie własne ograniczenia. Może jesteście brzydki, może zbyt głupi lub zbyt inteligentni jak na swoje potrzeby, głusi, niemi albo ślepi, może natura uczyniła was skłonny do zbyt wielkiego gniewu czy rozpacz, może nienawidzicie samych siebie albo panicznie boicie się pani Śmierci. Wszyscy nosimy jakieś ciężary. Z drugiej strony, jeśli nawet jesteście atrakcyjniejsi i inteligentniejsi ode mnie, jeśli możecie w pełni używać wszystkich pięciu zmysłów, jeśli jesteście jeszcze większymi optymistami niż ja, jeśli lubicie siebie samych i podobnie jak ja nie pozwalacie upokorzyć się temu największemu Kosiarzowi... cóż, mógłbym pewnie was nienawidzić, gdybym nie wiedział, że jak wszystkich na tym niedoskonałym świecie dręczy was czasem ból, cierpienie, smutek i tęsknota.

Swoją przypadłość uważam za błogosławieństwo. Moje życie jest niezwykle, różne od życia większości z was.

Na pewno nikt z was nie czuje się w nocy tak swobodnie jak ja. Nikt nie zna lepiej ode mnie świata zamkniętego pomiędzy zmierzchem i świtem, bo jestem bratem sowy, nietoperza i borsuka. W ciemnościach czuję się u siebie. To może znaczyć więcej, niż wam się wydaje.

Oczywiście nic nie wynagrodzi faktu, że przedwczesna śmierć jest wśród ofiar XP czymś powszechnym. Nikt z nas

nie spodziewa się, że dożyje starości — przynajmniej nie bez postępujących chorób i przypadłości, takich jak drżenie głowy i rąk, utrata słuchu, trudności z mówieniem, a nawet upośledzenie umysłowe.

Jak dotąd bezkarnie grałem Śmierci na nosie. Los oszczędził mi także wszelkich dolegliwości i chorób, które od dawna przepowiadali moi lekarze.

Mam dwadzieścia osiem lat.

Stwierdzenie, że od pewnego czasu żyję na kredyt, byłoby nie tylko banalne, ale i nieprawdziwe. Całe moje życie to przedsięwzięcie obarczone potężnym zastawem.

Ale podobnie jest z wami. Wszyscy będziemy musieli w końcu zdać sprawę z naszych poczynań. Prawdopodobnie ja otrzymam swoje wezwanie wcześniej niż większość z was, ale i wasza przesyłka czeka już na osteplowanie.

Mimo to, dopóki listonosz nie zapuka do drzwi, trzeba się cieszyć życiem. Jedyne rozsądne rozwiązanie to być szczęśliwym. Rozpacz jest tylko głupim marnotrawstwem bezcennego czasu.

Tutaj i teraz, w tę chłodną wiosenną noc, po godzinie duchów, ale wciąż jeszcze na długo przed świtem, ścigając mojego sprytnego psa i łudząc się nadzieją, że Jimmy Wing wciąż żyje, mknąłem przez puste alejki i opuszczone ulice, przez park, w którym Orson nie zatrzymał się nawet, by powąchać jakieś drzewo, obok szkoły, w stronę ulic położonych w dolnych partiach wzgórz. W końcu Orson zaprowadził mnie do rzeki Santa Rosita przedzielającej miasto na całej jego długości.

W tej części Kalifornii, gdzie suma rocznych opadów nie przekracza zazwyczaj czterestu cali, rzeki i strumienie przez większą część roku są wyschnięte. Ostatnia pora deszczowa nie przyniosła więcej ulew niż zazwyczaj, toteż koryto rzeki było całkiem odsłonięte; szeroki pas mułu, błądy i lśniący w

blasku księżyca. Był gładki jak prześcieradło, jedynie w kilku miejscach poznaczone ciemnymi pniami zatopionych drzew, leżących nieruchomo niczym śpiący bezdomni, których kończyny powykrzywiane zostały przez koszmary.

Choć Santa Rosita miała od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu stóp szerokości, przypominała raczej sztuczny kanał niż prawdziwą rzekę. W ramach federalnego planu zapobiegania powodziom, które w przeszłości gnębiły od czasu do czasu tę okolice, brzegi rzeki zostały podniesione i wzmocnione warstwą betonu na długości całego miasteczka.

Orson zbiegł z ulicy, przeciął pas nagiej ziemi i zatrzymał się na betonowym nabrzeżu.

Podążając jego śladem, przejechałem między znakami, które rozstawiono w równych odstępach wzdłuż całego odcinka brzegu znajdującego się w obrębie miasta. Jeden z nich głosił, że nieupoważnione osoby nie mogą zbliżać się do wody i że łamanie tego zakazu karane jest grzywną. Drugi z nich skierowany był do tych obywateli, którzy nie mieli szacunku dla prawa, i ostrzegał, że w czasie burzy prąd jest tak silny, iż może porwać i utopić każdego, kto ośmieli się wejść do wody.

Pomimo wszystkich ostrzeżeń, pomimo widocznych gołym okiem turbulencji i zdradliwych wirów, wreszcie pomimo złej sławy Santa Rosity, co kilka lat jakiś poszukiwacz mocnych wrażeń z tratwą czy kajakiem domowej roboty — albo nawet ze zwykłą deską do pływania — ginie w odmętach rzeki. Pewnej zimy, zaledwie kilka lat temu, utonęły aż trzy osoby.

Wśród wielu rozsądnych ludzi zawsze znajdzie się ktoś, kto z zapalem skorzysta z nadanego nam przez Boga prawa do głupoty.

Orson stał na nabrzeżu z uniesioną wysoko głową i patrzył na wschód, w stronę autostrady nad brzegiem Pacyfiku i ciągnących się za nią wzgórz. Na chwilę zastygł w bezruchu i zaskomlał cicho.

Tej nocy woda nie płynęła dnem wyschniętego kanału. Od strony Pacyfiku nie docierał tu nawet najlżejszy powiew wiatru, który mógłby wzbudzić falę na oceanie.

Spojrzałem na błyszczącą tarczę zegarka. Świadom, że każda upływająca minuta może być ostatnią minutą Jimmy'ego Winga — jeśli rzeczywiście jeszcze żył — próbowałem ponaglać Orsona.

— O co chodzi?

Nie zwracał na mnie uwagi. Nadstawił tylko czujniej uszu, wciągnął w nozdrza nieruchome powietrze nocy i znów zastygł w absolutnym bezruchu, jakby oczarowany zapachem jakiejś dziwnej istoty poruszającej się gdzieś w górze rzeki.

Jak zwykle udzielił mi się nastrój Orsona. Choć miałem tylko zwyczajny nos i zwykle ludzkie zmysły — wprawdzie miałem znacznie lepsze ubranie i konto w banku — odczuwałem niemal to samo co on.

Orson i ja jesteśmy sobie bliżsi niż zwykły człowiek i pies. Nie jestem jego panem. Jestem jego przyjacielem, bratem.

Gdy mówiłem wcześniej, że jestem bratem sowy, nietoperza i borsuka, była to tylko metafora. Kiedy jednak stwierdzam, że jestem bratem tego psa, chcę, by rozumiano to dosłownie.

Przyglądając się korytu rzeki, które wiło się pomiędzy wzgórzami, spytałem głośno:

— Przestraszyłeś się czegoś?

Orson spojrzał wreszcie na mnie. W jego wielkich oczach dostrzegłem podwójne odbicie księżyca, które w pierwszej chwili wziąłem za swoją twarz, lecz ta nie jest ani tak okrągła, ani tak tajemnicza. Ani tak biała. Nie jestem albinosem. Moja skóra wydziela pigment, a cera nie jest całkiem biała, choć rzadko miewa kontakt ze słońcem.

Orson parsknął cicho, a ja nie musiałem wcale znać psiego języka, by go zrozumieć. Psiak mówił, że czuje się obrażony przypuszczeniem, że mógłby się tak łatwo czegoś wystraszyć.

Rzeczywiście, Orson jest odważniejszy nawet od większości swoich czworonożnych pobratymców. Znam go od dwóch i pół roku, odkąd był jeszcze szczeniakiem, i wiem, że może go przerazić tylko jedna rzecz: mały.

— Mały? — spytałem.

Parsknął ponownie, co zinterpretowałem jako „nie”.

Tym razem nie mały.

Jeszcze nie.

Orson wbiegł na szeroki betonowy zjazd, prowadzący na dno Santa Rosity. W czerwcu i lipcu z rampy tej korzystały koparki i spychacze, za pomocą których usuwano z kanału nagromadzony tam w ciągu roku szlam i śmiecie. W ten sposób pogłębiano koryto, co miało zapobiec wylaniu wody podczas następnego sezonu deszczu.

Zjechałem za Orsonem na dno Santa Rosity. Na tle cętkowanej betonowej rampy ciemna sylwetka psa rysowała się jedynie jako niewyraźna plama, jak cień jakiegoś niewidzialnego stworzenia. Gdy jednak stanął na powierzchni zakrzepłego szlamu, zalanego srebrną poświatą księżycą, nabrał realnych kształtów. Bez chwili zastanowienia ruszył na wschód, poruszając się bezszelestnie niczym czarny duch, który zstąpił na dno wyschniętego Styksu.

Ponieważ ostatni deszcz spadł tutaj trzy tygodnie temu, dno kanału nie było wilgotne. Nie zdążyło jeszcze jednak popękać i pokryć się grubą warstwą kurzu, mogłem więc jechać po nim bez przeszkód.

Po chwili zauważyłem, że choć rower praktycznie nie naruszał ubitej powierzchni mułu, niedawno musiał tędy przejechać jakiś ciężki pojazd, który pozostawił głębokie i wyraźne koleiny. Sądząc po ich rozmiarach, odcisnęły je opony jakiejś furgonetki, półciężarówki albo jeepa.

Po obu stronach wznosiły się wysokie na dwadzieścia stóp betonowe nabrzeża, nie mogłem więc widzieć domów

położonych bezpośrednio nad rzeką. Dostrzegałem jedynie zarysy odległych budynków na wzgórzach, oświetlonych blaskiem latarni. W miarę jak posuwaliśmy się w górę rzeki, także i one stopniowo zniknęły w ciemnościach, jakby noc była jakimś potężnym rozpuszczalnikiem, który pochłania wszystkie domy i wszystkich mieszkańców Moonlight Bay.

Na powierzchni betonowych nabrzeży rozmieszczone były w nieregularnych odstępach ujścia kanałów burzowych, niektóre średnicy zaledwie dwóch czy trzech stóp, inne tak wielkie, że można by w nich schować ciężarówkę. Ślady opon prowadziły jednak w górę rzeki, proste niczym wersy maszynopisu. Jedynie od czasu do czasu wyrzuszały się nieco, by ominąć jakiś pniak czy konary zatopionego drzewa.

Choć Orson bez wahania biegł naprzód, z niepokojem zerkałem na ciemne otwory kanałów. Podczas burz i gwałtownych ulew tryskały z nich wielkie strumienie wody spływającej z ulic miasteczka i z rowów ukrytych wśród wysokich traw okolicznych wzgórz. Teraz, w czasie upalnej pogody, kanały te stanowiły podziemne ulice tajemnego świata, zamieszkanego przez wyjątkowo dziwaczne stworzenia. Miałem wrażenie, że lada moment jedno z nich zniecka zaatakuje.

Muszę przyznać, że wybijała wyobraźnia często płata mi figle i bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. Czasem wpadam przez to w kłopoty, jednak niejednokrotnie ocalała mi życie.

Poza tym, przemierzając wszystkie kanały burzowe na tyle duże, by pomieścić dorosłego człowieka, napotkałem kilka osobliwych tworów. Dziwadła i monstra. Rzeczy i widoki, które mogły przyprawić o dreszcz przerażenia nawet człowieka zupełnie pozbawionego wyobraźni.

Ponieważ naturalną koleją rzeczy słońce wschodzi każdego ranka, moje nocne życie ogranicza się do miasteczka i jego najbliższych okolic; muszę mieć pewność, że nim nastanie

świt, zdążę wrócić do bezpiecznie mrocznych pokoi mojego domu. Zważywszy na fakt, że nasze miasto liczy dwanaście tysięcy stałych mieszkańców i dodatkowe trzy tysiące studentów Ashdon College, mam spore pole do popisu; naprawdę, nie uważam, by moja rodzinna miejscowość zasługiwała na miano zadupia. Mimo to, nim skończyłem szesnaście lat, znałem każdy cal Moonlight Bay lepiej, niż znam to, co kryje się w mojej głowie. Dlatego też, by się nie zanudzić, wciąż poszukuję nowych możliwości na tym wąskim wycinku ziemi, do którego przykuło mnie XP. Przez pewien czas fascynował mnie teren znajdujący się pod ziemią, przechadzałem się więc ciemnymi kanałami niczym upiór, który krążył w podziemiach paryskiej opery, choć nie miałem jego peleryny, kapelusza i blizn, nie byłem też szaleńcem.

Ostatnio jednak wolałem pozostawać raczej na powierzchni. Podobnie jak każdy z mieszkańców tego świata, za jakiś czas i tak przeniosę się na stałe kilka stóp pod ziemią.

Minęliśmy spokojnie wylot kolejnego kanału, kiedy Orson nagle poderwał się do szybszego biegu. Ślad musiał być już bardzo wyraźny.

W miarę jak koryto rzeki wznosiło się coraz wyżej, lawirując pośród wzgórz na wschód od miasta, stawało się też coraz węższe. W miejscu skrzyżowania z autostradą numer 1 miało już tylko czterdzieści stóp szerokości. Rzeka została tutaj zamknięta w tunelu długości ponad stu stóp. Choć stojąc u wejścia do kanału, widziałem srebrny blask księżyca po drugiej jego stronie, pośrodku zalegała głęboka ciemność.

Orson najwyraźniej nie wyczuwał żadnego zagrożenia. Nie warczał.

Nie wbiegł jednak bez wahania do tunelu. Stał przy wejściu, nieruchomo, strzygąc uszami.

Od wielu już lat na moje nocne wyprawy zabieram jedynie odrobinę gotówki na drobne wydatki, małą latarkę, której

używam w tych rzadkich sytuacjach, kiedy ciemność jest raczej moim wrogiem niż sprzymierzeńcem, i telefon komórkowy. Ostatnio dołożyłem do tego standardowego wyposażenia jeszcze jeden element: pistolet Glock, kalibru dziewięć milimetrów.

Glock wisiał pod kurtką, ukryty w specjalnej uprząży pod ramieniem. Nie musiałem dotykać broni, by wiedzieć, że tam jest; wyczuwałem ją niczym wielką narośl na żebrach. Mimo to wsunąłem rękę pod kurtkę i zacisnąłem dłoń na rękojeści pistoletu, jakby był to jakiś potężny talizman.

Oprócz czarnej skórzanej kurtki miałem na sobie czarne buty, czarne skarpetki, czarne dżinsy i obcisły, czarny sweter. Nie ubieram się na czarno dlatego, że chciałbym upodobnić się do wampirów, księży, ninja czy gwiazd Hollywoodu. Rozsądek wymaga po prostu, by wychodząc nocą na ulice miasta, mieć przy sobie broń i jak najmniej rzucać w oczy, zlewać w jedno z ciemnością.

Z pistoletem w kaburze, stojąc okrakiem nad rowerem, odpiąłem od kierownicy małą latarkę. Mój rower nie ma przedniego reflektora. Od tyłu lat żyłem w ciemnościach rozświetlanych co najwyżej płomieniem świecy, że moje oczy zazwyczaj doskonale radziły sobie bez pomocy sztucznego światła.

Promień latarki docierał na jakieś trzydzieści stóp w głąb tunelu o prostych ścianach i łukowatym sklepieniu. Nikt nie czaił się przy wejściu do tego korytarza.

Orson wszedł do środka.

Nim ruszyłem za nim, wsłuchiwałem się przez chwilę w monotony pomruk silników aut pędzących autostradą, wysoko ponad nami. Jak zawsze ten dźwięk budził we mnie podniecenie i smutek jednocześnie.

Nigdy nie prowadziłem samochodu i prawdopodobnie nigdy nie będę tego robił. Nawet gdybym osłonił dłonie rękawicami,

a twarz skrył pod specjalną maską, światła aut nadjeżdżających z przeciwka stanowiłyby poważne zagrożenie dla moich oczu. Poza tym nie mógłbym odjechać zbyt daleko ani na północ, ani na południe wzdłuż wybrzeża, jeśli miałbym wrócić do domu przed wschodem słońca.

Chcąc jeszcze przez chwilę sycić się tymi odgłosami, obejrzałem dokładnie betonową skarpe, w której otwierało się wejście do tunelu. Na szczycie wzniesienia znajdowały się metalowe barierki wyznaczające kraniec pobocza autostrady. Choć widziałem odbijające się w nich światła samochodów, nie widziałem samych pojazdów.

Kątem oka dostrzegłem jednak — a przynajmniej tak mi się wydawało — coś innego; jakąś ciemną postać kuczającą na skarpie, na południe ode mnie, nie tak ciemną jak sama noc, lecz podświetlaną przez przejeżdżające auta.

Siedziała na szczycie betonowego zbocza, tuż obok metalowej barierki, ledwie widoczna, lecz tak złowieszcza i przerażająca jak gargulec na skraju dachu katedry. Kiedy odwróciłem głowę, by przyjrzeć jej się lepiej, mocne światła nadjeżdżających ciężarówek wypełniły noc całą armią chybotliwych cieni, przypominających stado kruków, które zerwały się właśnie do lotu. Wśród tych upiornych kształtów postać na moment stała się znacznie bardziej rzeczywista, zbiegła ukosem na dół skarpy, z dała ode mnie i od tunelu, by następnie zniknąć w trawie po południowej stronie rzeki. W mgnieniu oka znalazła się poza zasięgiem reflektorów samochodowych, ukryta w głębokich ciemnościach i za zasłoną betonowych nabrzeży. Być może zataczała właśnie szerokie koło, by wejść do wyschniętego koryta za moimi plecami. Być może zresztą wcale nie była mną zainteresowana.

Wprawdzie przyjemnie byłoby myśleć, że wszystko kręci się wokół mnie, wiedziałem jednak, że nie jestem centrum wszechświata.

Właściwie ta postać mogła być jedynie wytworem mojej wyobraźni. Widziałem ją przez tak krótką chwilę, że nie mogłem mieć pewności, czy nie było to jedynie przywidzenie.

Ponownie sięgnąłem pod kurtkę i dotknąłem glocka.

Orson wbiegł już tak daleko w głąb tunelu, że ledwie go dostrzegąłem w bladym świetle latarki. Obejrzałem się jeszcze raz za siebie i nie dojrzawszy tam żadnego napastnika, ruszyłem śladem psa. Zamiast jechać na rowerze, szedłem na piechotę, prowadząc go lewą ręką.

Nie podobało mi się to, że w prawej ręce — ręce, która trzyma pistolet — ściskam latarkę. W dodatku światło czyniło mnie doskonale widocznym celem i łatwą zdobyczą.

Choć dno rzeki było suche, ściany tunelu pokrywał delikatny, wilgotny nalot, a w chłodnym powietrzu czuło się zapach wapna.

Pomruk przejeżdżających wysoko nad nami samochodów przedostawał się przez grube warstwy betonu, stali i ziemi, odbijając się głuchym echem w kopulastym sklepieniu tunelu. Pomimo tego nieustającego huku co chwila wydawało mi się, że słyszę za plecami czyjeś kroki. Za każdym razem, kiedy odwracałem się w tę stronę, promień latarki odsłaniał jedynie gładkie betonowe ściany i wyschnięte koryto rzeki.

Ślady samochodu prowadziły na drugą stronę tunelu, gdzie mogłem wreszcie zgasić latarkę i z ulgą przywitać blask księżyca. Wyschnięte koryto skręcało na prawo, na południowy wschód od autostrady, podnosząc się teraz w szybszym tempie niż poprzednio.

Mimo że na zboczach okolicznych wzgórz wciąż rysowały się domy, wiedziałem, iż zbliżamy się do granic miasta. Wiedziałem też, dokąd zmierzamy. Domyślałem się tego już od dłuższego czasu, miałem jednak nadzieję, że się mylę. Jeśli Orson odnalazł właściwy trop, a porywacz Jimmy'ego Winga jechał samochodem, który pozostawił ślady na dnie rzeki, to

najprawdopodobniej zmierzał do Fortu Wyvern, opuszczonej bazy wojskowej, będącej obecnie źródłem wielu problemów Moonlight Bay.

Fort Wyvern, który zajmuje powierzchnię 134 456 akrów — znacznie większą niż powierzchnia naszego miasteczka — otoczony jest wysoką metalową siatką, umocowaną do stalowych słupów zatopionych w betonie i zwieńczoną szerokim pasem drutu kolczastego. Bariera ta przedzielała także rzekę, i kiedy wyjechałem z za zakrętu kanału, zobaczyłem ciemnego chevroleta suburban, zaparkowanego przed ogrodzeniem. To właśnie ten samochód zostawił ślady na dnie wyschniętej rzeki.

Od jeepa dzieliło nas jeszcze ponad sześćdziesiąt stóp, byłem jednak przekonany, że nikt nie siedzi w jego wnętrzu. Mimo to wołałem się najpierw upewnić, czy przecucie mnie nie myli.

Głuchy warkot świadczył o tym, że i Orson wołał zachować ostrożność.

Obejrzałem się, nie dojrzałem jednak żadnego śladu przerażającego gargulca, który czaił się na skraju autostrady po drugiej stronie tunelu. Wciąż jednak wydawało mi się, że ktoś nas obserwuje.

Ukryłem rower za pnem powalonego drzewa, leżącego na dnie wyschniętej rzeki.

Wetknąwszy latarkę za pasek, wyciągnąłem glocka z kabury. Jest to wyjątkowo wygodny pistolet, który wszystkie elementy zabezpieczające kryje w swoim wnętrzu; nie muszę odciągać żadnych dźwigiemek, kiedy chcę go użyć.

Ta broń nieraz już uratowała mi życie i choć daje poczucie bezpieczeństwa, budzi we mnie także pewną niechęć. Podejrzewam, że nigdy nie będę w stanie posługiwać się nią z pełną swobodą. Waga i kształt pistoletu nie mają z tym nic wspólnego; to naprawdę doskonały pistolet. Jednak kiedy jako

młody chłopiec przemierzałem nocami ulice miasta, niejednokrotnie padałem ofiarą prześladowań ze strony silniejszych — głównie dzieciaków, ale także i dorosłych, którym wydawało się, że dręcząc mnie, naprawiają świat — i choć dzięki tym przykrym doświadczeniom nauczyłem się walczyć o swoje prawa i nie pozwalać, by w moim najbliższym otoczeniu działa się komuś krzywda, to stały się one także źródłem niechęci do używania przemocy jako prostej recepty na wszystkie kłopoty. Jeśli okoliczności zmuszą mnie, bym broniąc siebie i swoich najbliższych, użył broni, zrobię to, ale na pewno nie sprawi mi to przyjemności.

Wraz z Orsonem podkradliśmy się ostrożnie do samochodu. Tak jak przypuszczałem, w środku nie było nikogo. Przyłożyłem dłoń do maski. Była jeszcze ciepła, a to oznaczało, że jeepa zaparkowano tu zaledwie kilka minut temu.

Ślady stóp prowadziły od miejsca kierowcy do drzwi po stronie pasażera. Potem kierowały się w stronę ogrodzenia. Wyglądały podobnie — jeśli nie tak samo — jak ślady odcisnięte pod oknem sypialni Jimmy’ego Winga.

Srebrna moneta księżyca toczyła się powoli do ciemnego portfela zachodniego horyzontu, jednak jego blask był jeszcze dość jasny, bym mógł odczytać tablice rejestracyjne samochodu. Szybko zanotowałem w pamięci sekwencję cyfr i liter.

Po chwili odnalazłem miejsce, w którym siatka ogrodzenia została przecięta specjalnymi nożycami do drutu. Najwyraźniej dokonano tego już jakiś czas temu, przed ostatnim deszczem, gdyż na powierzchni mułu przy ogrodzeniu nie dostrzegłem śladów ciężkiej pracy.

Kilka dużych kanałów burzowych łączy Moonlight Bay także i z Wyvern. Zwykle kiedy odwiedzam opuszczoną bazę wojskową, korzystam właśnie z takiego dyskretnego przejścia.

Na płocie przecinającym dno rzeki umieszczono — podobnie

jak w wielu innych miejscach wzdłuż ogrodzenia i na terenie samego fortu — tablicę z czerwonymi i czarnymi napisami głoszącymi, że choć po zakończeniu zimnej wojny baza została zamknięta na polecenie Wojskowej Komisji Obrony, osoby, które wtargną bez upoważnienia na jej teren, zostaną ukarane grzywną lub aresztem. Lista odpowiednich praw i ustaw, stanowiących podstawę prawną tego ostrzeżenia, zajmowała jedną trzecią tablicy. Informacja utrzymana była w stanowczym i bezkompromisowym tonie, ale to wcale nie odstraszało mnie od złamania wszelkich wymienionych w niej zakazów. Politycy obiecują nam także pokój, dobrobyt, bezpieczeństwo i sprawiedliwość. Gdyby spełnili choć jedną z tych obietnic, być może z większym respektem traktowałbym ich groźby.

Tuż przy samym przejściu obok śladów porywacza widniały jeszcze inne. Było jednak zbyt ciemno, abym mógł je zidentyfikować.

Postanowiłem zaryzykować i użyć latarki. Przysłaniając żarówkę dłonią, pochyliłem się nad ziemią i włączyłem latarkę na dwie sekundy — wystarczająco długo, bym zrozumiał, co działo się w tym miejscu.

Choć dziura w siatce została przygotowana znacznie wcześniej, zapewne specjalnie na tę okazję, porywacz postarał się, by nie była zbyt widoczna. Prowizorycznie połączył ze sobą obie krawędzie rozerwanego ogrodzenia, tak by dzisiaj rozciągnąć je tylko na boki. Jednak by tego dokonać, musiał mieć obie ręce wolne. Postawił więc swego więźnia na ziemi, a zabezpieczając się przed ewentualną ucieczką, albo porządnie nastraszył dziecko, albo po prostu je związał.

Ślady pozostawione przez ofiarę były znacznie mniejsze od śladów porywacza: odciski dziecięcych stóp, bosego chłopca porwanego prosto z łóżka.

Oczami wyobraźni ujrzałem nagle ściągniętą bólem twarz Lilly. Jej mąż, Benjamin Wing, konserwator linii

energetycznych, zginął prawie trzy lata temu, porażony prądem. Był to wielki, wesoły chłop, półkrwi Indianin, tak pełen życia, że wydawało się, iż nigdy nie może spotkać go nic złego. Jego śmierć była dla wszystkich szokiem. Choć Lilly jest wyjątkowo silną kobietą, to gdyby w tak krótkim czasie utraciła drugą ukochaną osobę, zapewne nie potrafiłaby już wrócić do normalnego życia.

Mimo że od dawna nie byliśmy już ze sobą, nadal kochałem ją tak, jak kocha się przyjaciela. Modliłem się, bym mógł przyprowadzić jej synka, całego i zdrowego, i by ten straszliwy ból zniknął z jej oczu.

Orson zaskomlał cicho. Drżał z niecierpliwości, gotów natychmiast ruszyć w pościg.

Zatknąwszy ponownie latarkę za pas, rozsunąłem metalowe poły siatki. Delikatny jęk protestu poniósł się wzdłuż ogrodzenia, daleko w ciemność.

— Frankfurterki dla wszystkich o walecznym sercu — obiecałem solennie, a Orson bez wahania przeskoczył przez otwór.